

**STEFAN
ŻEROMSKI**

ARYMAN MŚCI
SIE

Stefan Żeromski
Aryman mści się

«Public Domain»

Żeromski S.

Aryman mści się / S. Żeromski — «Public Domain»,

„Synu mój, synu! Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi.” Te słowa szepcze nad kołyską Jana manichejczyk Diokles, pustelnik. „Synu mój, synu! Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twoje serce, jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał.” Do jakich ekstremów można się posunąć by odepchnąć pokusę? Aryman to perski bóg ciemności, zła, zniszczenia i kłamstwa, uwikłany w odwieczną walkę z bóstwem dobra i światłości. Choć jego imię nie pada poza tytułem ani razu, jest obecny, przemyka wśród szeptów pokus, nieodróżnialnych od szeptów natchnienia. Diokles porzucił świat dóbr doczesnych, podarował synowi „potęgę samotności”, klucz do szczęścia. Nadchodzą jednak sny. Niezwykle interesująca pozycja w dorobku Stefana Żeromskiego. W nieoczywistej legendzie autor splótł wiele inspiracji, stylizacji i motywów, połączył je w zakończoną wstrząsającą litaniją artystyczną całość, poruszającą emocjonalnie i intelektualnie.

© Żeromski S.

© Public Domain

Stefan Żeromski

Aryman mści się

Zbliżając się do szczytu wyniosłości życia, zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężałe dźwigały wiek jego nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznajomej, co się daleko ukazać miała. Ostroymi łokciami wparła się w jego ramiona uporczywa zgryzota i plecy mu w pałąk wygięła. Zelżały już rzemienne popręgi życia wśród blasku i wówczas widoczną była każda sina blizna, którą mocno i głęboko wypaliły. I serce, po tysiąc razy nasycone, już nie łaknęło.

Daleko w nizinach został ów czas, kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała. Skinienie ręki, na którego widok tłum rozstępuje się i ucieka, jakby go uderzał blask grotów włóczy schylonych i mieczów wydobytych; skinienie ręki, na którego widok czołga się do stóp nieznany człowiek, jakby go ciągnął powróż siepacza – znudziło się i obmierzło.

I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.

O, gdyby można było wrócić się tą samą drogą, o, gdyby można iść wstecz i raz jeszcze ujrzeć, co się już widziało, – ku dalekim dolinom, we mgłach tęsknicy roztopionym! Wrócić się do widzeń serca, zobaczyć znowu świat nieprawdziwy, odbity w oczach dziecka... Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnym zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome westchnienie i przewodniczy orszakowi myśli nowonarodzonych, które za niem idą w stronę mądrości...

Raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać!

Tam w tych dolinach zostało się szczęście, które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrzeńki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce...

A kiedy na obraz ciosów dzwonu za umarłych, które rozbijają ciszę poranka, twarda świadomość roztrącała westchnienie, głosząc, że dni szczęścia już się wrócą, już się nie wrócą, jak śnieg, z chmur spadły, na dawne miejsce w przestworzu, – wzniosł ciężką rękę, aby zatrzaskać drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przestać uczuwać potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw ciągle odmiennych, a zawsze tych samych, świeżych, jak dopiero zerwane róże skojarzeń myśli, za którymi nieodzowne wlecze się zdala poziewanie.

Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nie czekający nigdy, który śpieszy się wiecznie na wyścigi z dziką pianą fal, z polotem wiatru i z płomienną błyskawicą. Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła zżerać i trawić, jak w ogniu. Aby zaczęła wadzić się z sobą i ze wszystkimi hasłami żywota. Zgromadzić dokoła niej jedynych sojuszników, jedynych przyjaciół i znajomych współbraci: własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętności, jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikczemną i szczekającą zatrzymać.

A gdy to marzył, stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał i dla rozkoszy życia dawno odtrącił. I widział znowu wielmożną myśl Manesa, co się w irańskich przestworach, u jasnych ognisk dobrotliwego ojca Ahuramazdy zapaliła, co się kochała w Baranku Bożym i ku ognistej tarczy słonecznej leciała, wiecznie stęskniona. Wtedy własne jego uczucia wlały się w amfory mistrza, co się zwał Parakletem. Począł dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim, pełgającym nad jaskinią.

I widział, jakgdyby w sennych marzeniach, pracę, walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu wywodzi, zły duch z czołem, zranionem od pocisku boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wzniciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego

ducha. W miłości poczynął dzieci, które były spadkobiercami grzechu i niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem.

Wtedy wydarł się z jego piersi głęboki jęk. Jęk żywota. Ujrzał raz na zawsze, że miłość dla kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materję. I potrzykroć za prawo nieodwołalne uznał wżgardę rozkoszy cielesnej: pieczęć piersi.

Powtóre w sennem westchnieniu oglądał drugie prawo wielkiego kacerza: oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko przejrzał, że dusza zwierzęca jest częstką Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości, uwięzionej w zwierzęciu i w roślinie.

I potrzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzód, pól, gajów, rzek i stepu: pieczęć ręki. Odtąd utonął cały w nauce wielkiego maga.

I śnił o świętym aniele blasku, jak w postaci węża namawiał pierwszego człowieka, aby zakaz przestąpił – i jak w nim przywiódł rodzaj ludzki do wysokiej świadomości samego siebie;

o jasnym aniele, synu słońca, jak w postaci węża krążył pomiędzy ludźmi, ucząc ich prawdy o naturze człowieczej;

o walce syna słońca, wszczętej przeciw królestwu ciemności, i o zwycięstwie książąt mroku, którzy część słonecznej zbroi objęli w posiadanie;

o tem, jak pan zesłał wówczas na ratunek człowiekowi ducha żywota, siłę, ze siebie samej wynikającą, Egona, który do jarzma wprężonemu prawicę podał.

I oto duch żywota, wsparty przez inne potęgi, zwyciężył wreszcie pana ciemności. Z cielska jego utworzył nocne niebiosy, a z błysków światła, jakie w niem były, stworzył gwiazdy, w mroku lśniące.

Uwierzył Diokles, że, gdy zupełne oczyszczenie nastąpi, duch jego, jako światłość czysta, wzniesie się ku księżycowi, uleci ku słońcu i wejdzie do królestwa wiecznego blasku. Z nim razem oczyszczać się będą z materji ludzie i wszystek świat, od źdźbła chwiejnej trawy nad wodą aż do gwiazdy, żarzącej się wśród niebios, póki nie wyłączy się światło z mroku. A gdy materyja blasku utraci, zamieni się w bryłę martwą i przez ogień będzie pożarta. Dusza każda, która dobrowolnie odda się w niewolę ciemności, karę zasłużoną poniesie i w chwili ostatecznego rozdzielenia królestw będzie do trupiej masy przykuta, ażeby była jej stróżem. Dusza taka stanie się jedno z tem, co za życia kochała...

Tak uczył Manes.

Gdy słońce, gdzie Bóg mieszka w wieczności, słońce, którego natura jest naturą Boga, szło na zachód i w czerwonych piaskach puszczy libijskiej tonęło, Diokles uczuwał w duszy swej tęsknotę, bardziej rozległą i nieobeszłą od pustyni. Gdy zmierzch spadał na rozkwitłe wąwozy Egiptu, zwracał oczy i wargi szepczące ku światłu nocnemu księżycy, co jak namiestnik pilny i dbały dalekiego władcy, obchodził majestatyczne królestwo niebios.

Tak często spędzał noc bezsenną.

A gdy się rozpraszała i gdy brzask pasować się zaczynał z cieniami, brał z sobą mały poczet sług i na mule wyjeżdżał.

Mijał wówczas oazę Jowisza Ammona. Nie wabiły go szumiące jej strugi, przezroczyste jeziora, ani cień zmoczonych rosą fig i granatów. Zagłębiał się w dzikie doliny i brnął wskróż nagich, płonnych, niepożytecznych płaskowzgórz, zasianych ostrymi głazami. Tam, w tej ziemi, gdzie każde źdźbło usycha, gdzie już nie może wytrwać cedr ani sosna, między skałami szukał tajemnicy żywota.

Wchodził do jaskiń zatarasowanych, które były mogiłami ludzi pustyni, – i długo patrzył na zwłoki leżące.

Wyschnięte ciała starców stuletnich, chrześcijan i kacerzy, były całe, nie dotknięte przez zgniliznę. Mocno zwarte, suche dłonie ich ścisnęły krzyże swe z drzewa. Palmowy liść, co im za

płaszcz służył, skruszył się i rozsypał. Leżeli nadzy. Zdawało się, że śpią, uśmiechając się do widzeń ducha.

Trwali tam setki lat w jamach skalnych ci nieśmiertelni ludzie. Pożywieniem ich był owoc palmowy, napojem woda. Tyle tylko zażywali pokarmu, żeby wydatek sił równy był przychodowi, a osiągnęli tę doskonałość, nie wprowadzając do swego ciała niczego, co gnije, co jest już własnością śmierci. Nie jedli mięsa zabitych zwierząt, nie pili sfermentowanych napojów. Wszelką zgniliznę wydobywali z żył swoich przez mózół nieustający. I wychodziła wraz z potem, który zlewał plecy, ręce i czoła. Siłę życia czerpali z żyjących promieni słonecznych, z jasności powietrza, z woni ziół. Ciało ich było taksamo czyste, jak duch. Częste, długie, z dnia na dzień dłuższe posty uczyniły je niezależnym i nietykalnym. Dlatego śmierci się oparło.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.